

WIERZYM

W WOLNOŚĆ



Antologia opowiadań
o prawach człowieka

AMNESTY
INTERNATIONAL



Wydanie 1
Skład: 180heartbeats+ JUNG v MATT
Copyright: Amnesty International Polska
2020

WIERZYM W WOLNOŚĆ

Antologia opowiadań

o prawach człowieka

na 30-lecie

Amnesty International w Polsce

ZIEMIA

WOJCIECH TOCHMAN

Niektóre rodziły po drodze. Przeżyły poród albo i nie przeżyły. Podobnie noworodki. Przeżyły, nie przeżyły. I te starsze. Wytrzymały drogę albo nie. Albo się zgubiły.

Ostatnie dni września, pierwsze października. Ludzie idą drogą rozpaloną słońcem, na południe, na północ, pot spływa im po plecach, po nogach. Albo woda, bo ulewa. Nie dźwigają tobozków. Kucają na poboczach zmęczeni, ochlapani, w błocie, ciasno, człowiek przy człowieku. Częściej kobiety, dzieci, najwyraźniej bez mężczyzn. Nocami nie ma księżyca. W światłach samochodów ich cienie (abaje, hidżaby, nikaby) migają jak zombi, które nie potrafią znaleźć sobie miejsca na ziemi. Tak właśnie się dzieje. Tutaj usiłują przetrwać do świtu.

#teknaf

Przyszły przez granicę, przyplłynęły rzeką Nef albo morzem, przez Zatokę Bengalską. Skończył się dzień, a one wciąż szukają schronienia w którymś z tułaczyh obozów rozlokowanych na wzgórzach przy brzydkiej drodze. Tak ją z fotografem nazywamy. Prowadzi z miasta Koks Badżar na południe, prawie sto kilometrów na kraniec półwyspu Teknaf. Na mapie Google świetnie to widać.

Co jakiś czas szosa wpada w środek bazaru, przecina go na pół. Po prawej i po lewej stronie – niskie betonowe budynki, czarne od wilgoci. W nich odbywa się handel chlebem, herbatą, cegłą. I przed nimi. Błoto! Wszędzie błoto wymieszane z odchodami zwierząt. Psy, kozy, krowy, ludzie, samochody, CNG, czyli tutejsze tuk-tuki, klaksony, krzyki, upał. Wilgotność? Z 90 procent! Albo deszcz. Nieważne, pogoda w handlu nikomu nie przeszkadza. Na każdym bazarze zawsze taki sam zgiełk, taki sam tumult, korek. Kto tutejszy? Kto uchodźca? Wszyscy wyglądają jednakowo nędznie.

Nieopodal bazaru – obóz. Pierwszy, trzeci, piąty, trudno je zliczyć. Ale ktoś policzył: 23. Jedne są “zarejestrowane”, inne zupełnie dzikie, wyglądają tak samo, zrosnięte ze sobą albo osobne, oddzielone zielenią pól ryżowych. Żadnego porządku, żadnych białych namiotów, jakie widać na przykład w Jordanii, do której uciekają Syryjczycy. Ani kontenerów, jakie znamy z obozów na Lesbos. Tutaj? Folia rozpięta na patykach. Tysiące plastiko-

wych szałasów zbudowanych w mule, wśród drzew, krzaków albo na nagich niewysokich wzgórzach zupełnie zdewastowanych. Bo podłoga w namiocie, nawet jeśli jej nie ma, musi być pozioma. Zdrożeni mężczyźni zdobywają motykę, nie wiadomo skąd, nie przynieśli jej przecież ze sobą, i w zбочu pagórka wycinają taras. Trzy na trzy metry, czasem trochę większy. Idą kupić bambus. Przy brzydkiej drodze tutejsi sprzedają bambusowe kije. Tyczki długie na kilka metrów. Do niedawna jedna kosztowała 15 taka, teraz handlarze wołają trzy razy więcej. To wciąż poniżej dolara za sztukę – ośmiu tyczek trzeba, żeby zbudować schronienie dla rodziny. W uchodźczym budżecie to poważny wydatek. Można podobno znaleźć tyczki za darmo, podobno gdzieś je rozdają, nie bardzo wiadomo gdzie.

Z najwyższego wzgórza widać dziesiątki innych wzniesień pościętych motykami, widać tysiące tarasów ułożonych kaskadowo, czarna folia aż po horyzont, to tu, to tam niebieski i pomarańczowy brezent, czerwone latryny. Jeszcze trochę popada, a tarasy zaczną zjeżdżać na niższe tarasy. I zasypią ludzi. Ale na razie nikt o tym nie myśli, na razie każdy chce mieć kawałek czegośkolwiek nad głową. Przylądek beznadziei. Dziesiątki kilometrów kwadratowych zajęte przez wygnańców. Po prawej stronie jezdnii, bo po lewej granica z buddyjską Mjanmą (do niedawna Birma).

Stamtąd uciekają muzułmanie Rohingya, z ognia. Na tamtejszym niebie we wrześniu nie raz, nie dwa widać było dymy. Czyszczenie etniczne granicznego stanu Rakhine, gdzie mieszkają Rohingya, armia Mjanmy rozpoczęła 25 sierpnia. Nie pierwsze. Mjanma od lat odmawia Rohingyom obywatelstwa, twierdzi, że są

obcy, że muszą z Birmy odejść. Mnisi w pomarańczowych szatach karmią wyznawców Buddy nienawiścią do wyznawców Allaha. Armia pali, gwałci, zabija, wygania. Kolejne ludobójstwo, o którym trzeba nam wiedzieć?

Jest i ładna droga, równoległa do brzydkiej. Biegnie z miasta na południe wzdłuż najdłuższej plaży świata. Zielono, żadnego bazaru, obozu, błota, kilka porządniejszych hoteli, morze po prawej, zachodniej stronie. Czarne, głębokie łodzie: mają sześć metrów długości, kształt bawolich rogów. Którejś nocy po deszczu będziemy ładną drogą pędzić na plażę Inani. Dostaniemy wiadomość, że powinniśmy tam przyjechać natychmiast. Gdzie jest Inani?

W Bangladeszu. To jedno z najbiedniejszych państw świata, jedno z najgęściej zaludnionych. Populacja – ponad 160 milionów. Muzułmanie – 90 procent. Analfabeci – ponad połowa. Cyklony, powodzie, masowe niedożywienie, limitowany dostęp do wody pitnej. Na ten niewielki kawałek kraju, na półwysep spięty brzydką i ładną drogą przyszło/przyplłynęło we wrześniu i październiku 600 tysięcy ludzi z Mjanmy. Dołączyli do 300 tysięcy Rohingya, którzy stamtąd uciekli tu wcześniej. Na ładnej i na brzydkiej drodze – punkty kontrolne, żołnierze, karabiny. Armia Bangladeszu pilnuje, by uchodźcy nie wydostali się poza wyznaczony dla nich teren, poza półwysep.

Na krańcu cypla woda odcina kawałek lądu, tworzy wyspę. Mieszkają tam ludzie. Oni pierwsi witają tych, którzy z Mjanmy wybrali drogę przez rzekę.

– Drogi nie wybieraliśmy – mówi Aias. Ma 27 lat, żonę Taherę, dwa lata młodszą, pięć córek, dwóch synów. Najmłodsze dziecko – 18

miesiący, najstarsze – osiem lat. Musieli z Taherą je tu wszystkie przydźwigać. Na ramionach, na piersiach, pod pachami. Dziewięć dni, mało picia, jedzenia, deszcz, skwar, żadnych ciuchów na zmianę. Zostawili na polach niezebrany ryż (Aias jest właścicielem 15 hektarów) i dom w ogniu. Szli przed siebie, dotarli do rzeki – nigdy wcześniej jej nie widzieli. Mieli 25 dolarów. Rybak z Bangladeszu powiedział, że wystarczy. Wielu rybaków nie przewozi uchodźców dla zarobku, chcą ratować, są biedni, biorą za paliwo. Był wieczór. W łódce tuzin dorosłych i dziesiątki dzieci. Nikt ich nie liczył, nie pytał, skąd są, czy wszystkie mają opiekę. Kazali siedzieć cicho. Siedzieli. Lało. Na wyspę dotarli po godzinie. Stamtąd, inną łódką, na stały ląd.

Dwa tygodnie temu z przystani w głąb półwyspu prowadziła wałem wąska betonowa droga. Dziś jej już nie ma, beton zmyła woda. A łódki wciąż przypływają. Przybysze ledwo stoją, mają obłąkane, suche oczy, nie mówią, są spragnieni. Ruszają rozmytym wałem w jedynym możliwym kierunku – do pierwszej wsi. Wał jest przerwany. Tworzy się zator. Miejscowi zbudowali z bambusowych kijów prowizoryczną kładkę szeroką na jednego człowieka. Mostek ma 30 metrów długości, skręca pod kątem prostym, chwieje się, trzeba uważnie stawiać stopy, by nie spaść. Powoli, nikt nikogo nie popędza. Małe dzieci w ramionach dorosłych, ale starsze już nie. Każdy musi przejść sam. Również ta zgarbiona kobieta w czerni, której robimy zdjęcie.

Kilku tutejszych – są zamożniejsi od reszty, to widać – rozdały przybyłym drobne pieniądze. Biedniejsi przynoszą ubrania. Nie ma wrogości, jest zrozumienie. Bangladesz zaprasza. – Jeśli to

konieczne – powiedziała ostatnio pani premier Sheikh Hasina – będziemy jedli raz na dzień i podzielimy się z prześladowanymi. Wszak jesteśmy ludźmi i na rzecz ludzi działamy.

Zdjęcie robimy także Fatimie. Zgadza się bez problemu. Niech świat, mówi, zobaczy nasze cierpienie. Sądzi, że świat je dostrzeże? Że jej udręczoną starością ktoś się na świecie przejmie? Jej znękaną twarz zapamięta? Zapyta, po co tutaj tak kuca? Na wąskim wale kuca już dziesiątą godzinę, już dziesiąty dzień. Od świtu do nocy bez picia, jedzenia, tylko ludzkie stopy zmieniają się jej przed oczami, nieprzerwanie: większe, mniejsze, w klapkach albo boscie, nieznajome: – Czekam na siostrę. Tam została.

#baluhkali

Sadida ma 20 lat. Arafat – 15 dni. Tutaj go urodziła. Teraz stoi w ogonku do lekarza. Syn gorączkuje, ma biegunkę, jest tak słaby, że Sadida aż boi się myśleć. Czy myśli za nią jej mąż, który stoi obok? Ma 60 lat i niechęć do rozmowy. Ale najwyraźniej trapi go to samo zmartwienie. Ona mówi, że jest jego drugą żoną, poprzednia umarła dwa lata temu. To ich pierwsze dziecko. Młody lekarz spojrzy na nie za chwilę, zza stołu pełnego lekarstw. Stół postawiono w namiocie z folii i patyków. Namiot stoi przy wejściu do obozu Balu Khali. Pod nogami lekarza – błoto. Przed lekarzem – tłum. W tłumie czeka Arafat: tak maciupki, tak cichy, że patrząc na mamę, można by go nie zauważyć. Trzyma go przy piersi, w różowym ręczniku. Nie ma pokarmu. Dostała kilogram mleka w proszku, na razie wystarczy. Lekarz nie proponuje żadnego badania, dziecka nie dotyka, każdemu pacjentowi należy się krótka rozmowa i pudełko do ręki: pantoprazol na zgagę, coś antyhistaminowego na ukąszenia insektów, antybiotyki na gorączkę. Organizacja, która tutaj pracuje, ma trzy inne takie namioty w sąsiednich obozach. Zatrudnia 12 lekarzy – codziennie wydają pięć tysięcy opakowań leków.

Lekarze boją się epidemii. Grupy higieniczne wchodzi między namioty, szczepią dzieci na cholere i polio. Rząd Bangladeszu i lokalne organizacje wiercą studnie głębinowe, stawiają na nich ręczne pompy, a obok – drewniane latryny. Sypią wapno. Wszędzie śmierdzi uryną i gównem.

Sadida dostaje dla syna cynk. Ma pomóc na biegunkę. Matka wciąż trzyma dziecko w objęciach. Poprawia nakrycie głowy i rusza pod górę, bo mieszkają gdzieś wyżej. Mąż idzie przodem, ona wspina się za nim. Robi kilka kroków, siada na ziemi. Brakuje jej sił, on się nie ogląda. Można by Sadidę zagadnąć o to, co przeszła tam, co po drodze. Nie zrobiliśmy tego teraz, jutro będziemy jej szukać, pytać o młodą matkę w długiej czarnej zasłonie, szczupłą, wysoką, z nieobecnyim spojrzeniem, trzy razy starszym mężem i dzieckiem przy piersi maleńkim jak dwie pięści. Nie znajdziemy Sadidy, ale znajdziemy ich tysiąc. Sadida mieszka w każdym foliowym szałasie.

Do namiotu, w którym pracuje młody lekarz, przyjechali młodzi psychologowie ze stolicy. Chcą pomagać ludziom w traumie. Boją się epidemii depresji. I przemocy. Nie ma psychiatrów, na depresję nie mają tu leków. Ani na bezradność. A powinni mieć. Na razie mężczyźni stawiają namioty, są zajęci. Codziennie muszą pójść do punktu dystrybucji, odstać swoje w kolejce, przynieść rodzinie ryż do ugotowania. Najpierw nie było na czym go ugotować, ale wczoraj rozdawali gliniane paleniska.

Na razie mężczyźni mają zajęte głowy. Za chwilę pojmą, że niczego więcej do roboty nie ma. Uchodźcom nie wolno pracować. Nie będzie pracy – będzie złość. Skoncentrowana na tak niewielkiej powierzchni zrodzi przemoc. Jeśli, jak dzisiaj, mężczyźni pozostaną nieuzbrojeni, ich wściekłość uderzy w kobiety i w dzieci. Jeśli ktoś da im broń – wrócą do Mjanmy, by walczyć o swoje domy i pola.

W namiocie obok (folia na patykach) punkt informacyjny Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji (IOM). Każdy uchodźca

może tu wejść i spytać, co ma robić. Co poradzą sierotom? Pytamy o sieroty, bo przed chwilą poznaliśmy Aloma i Iunusa, są braćmi. Pierwszy – 12 lat, drugi – 14. Ich dom, mówią, ostrzelano z wyrzutni ręcznej. Osiem dni temu. Rodzice – w środku. Tata zginął od razu, mama wybiegła przed próg i do niej strzelili. Chłopcy biegali wtedy gdzieś dalej, sąsiedzi powiedzieli im o zabitych rodzicach, kazali uciekać, cała wieś uciekła. Od sierot za łódkę nikt nie chciał pieniędzy. Teraz od tygodnia śpią przy drodze. Jedzą tam, gdzie pod turecką flagą dzieciom rozdają jedzenie. Dużo ryżu, curry z kurczakiem. Co najmniej kilka tysięcy sierot włóczy się tutaj dookoła. Rady w tym namiocie nie znajdują. Dla sierot żadnej oferty nie mamy, mówią specjaliści od migracji, sieroty na razie muszą sobie radzić same.

W trzecim namiocie (folia na patykach) – fundacja Nadzieja. Tłum, lekarstwa na biegunkę, anemię, zapalenie płuc, infekcje skórne, infekcje dróg moczowych, cukrzycę. Odnotowano przypadki gruźlicy. Sporo ran postrzałowych. Postrzelonych wiozą do szpitala, do miasta. Zoperowanych odsyłają do obozów tak szybko, jak to możliwe. Na gołą ziemię.

Na ziemi kobiety rodzą. Informuje o tym Sharuba, uśmiechnięta położna około trzydziestki. Idzie do namiotów, kiedy ją wzywają. Odbiera trzy albo cztery porody dziennie. Ale tylko do czwartej po południu, bo wtedy kończy pracę. Potem nadziei na pomoc nie ma – aż do rana. A każdej nocy rodzą się dzieci. Dziesiątki. Bo w ciąży jest tu dziewięć na dziesięć kobiet między 16. a 35. rokiem życia. Kto to policzył? – Ja – mówi Sharuba. – Codziennie przyjmujemy w namiocie cztery setki kobiet. Od miesiąca. Notuję, liczę i wy-

chodzi mi, że prawie wszystkie spodziewają się dziecka. Prawie wszystkie mają już większe dzieci. Roczne, trzyletnie, pięcioletnie, zwykle niewiele starsze. Same mają po 20 lat. Niektóre rodziły po drodze. Przeżyły poród albo i nie przeżyły. Podobnie noworodki. Przeżyły, nie przeżyły. I te starsze. Wytrzymały drogę albo nie. Albo się zgubiły. Każda matka jest obolała. Nocą obozy nie śpią.

#tulatoli

Młody mężczyzna pokazuje ręką na wzgórze. Mamy iść za nim. Na szczycie mieszka majhi – lider stu rodzin. Sto rodzin – jeden majhi. Tak ustaliła armia. Z uchodźcami władze komunikują się przez liderów.

Lider na górze nazywa się Mohammad Amin, ma 31 lat, przyjechał tu miesiąc temu ze wsi Tula Toli. O tym, co tam się stało 30 sierpnia 2017 roku, pomoże mu opowiedzieć starszy sąsiad. Nazywa się Moulana Roshon Ali, od miesiąca ma pełny żołądek. To znaczy pusty, ale nie może nic przełknąć, nie jest głodny. W Mjanmie też mieli szefa wsi, nazywał się Aung Kechin Ulatui. Nie był muzułmaninem Rohingya. – My – mówi niegłodny Moulana – nie możemy tam piastować żadnych stanowisk, my jesteśmy tam nikim. Uprawialiśmy ziemię: ryż, ziemniaki, orzechy, chili. Mieliśmy szkołę podstawową i średnią, bo to spora wieś – 360 gospodarstw, trzy i pół tysiąca ludzi. Otoczyli nas, trzystu ich było. Żołnierze. Szef wsi powiedział: “Stańcie w grupie, nikt wam krzywdy nie zrobi, tylko domy spalą”. I stanęli razem, co mieli robić. Ale nie wszyscy, bo droga rozdzielała Tula Toli na dwie połowy. Ci z pierwszej zgromadzili się ciasno na placu – to ich otoczyli wojskowi. Ci z drugiej pochowali się w krzakach. Żołnierze ogłosili, że kobiety i dzieci mają stanąć bliżej rzeki. Mężczyźni oddzielnie. Zaczęli podpalać domy. Ktoś krzyknął: “Nie wolno wam tego robić!”. Ktoś pierwszy ruszył pod lufy karabinów. Za nim ruszyli

wszyscy. Kto przedarł się przez linię strzału, ten trafił na noże birmańskich sąsiadów, na ich sierpy, maczety.

Kobiety miały jeszcze chwilę pożyć. Ocalali obliczają, że co najmniej sto kobiet zaprowadzono do kilku pustych domów. I od ósmej rano do piątej po południu zbiorowo gwałcono. – Nie ruszaliśmy się – mówi teraz niegłodny Moulana, szklą mu się oczy. – Nie pisnęliśmy w tych krzakach słowa.

Z nim żona, jedna córka zamężna, cztery niezamężne, dwóch synów. Wszyscy ocalali. Także rodzina lidera stu rodzin: ojciec, żona, dwóch synów – wszyscy są tutaj. Zmierzchało. Z krzaków powoli wycofali się do nieodległej dżungli. Tam przez trzy godziny czekali na bliskich. Ktoś jeszcze ocalał, komuś jeszcze udało się wyrwać. Ruszyli nocą w stronę granicy. Powoli, bo mieli wielu krwawiących. Tamtego dnia we wsi Tula Toli zostało zamordowanych 1713 jej mieszkańców. Tak dzisiaj liczą ocalali. Jak ich policzyli? Każdy zgłaszał, kogo z jego krewnych brakuje, kogo z sąsiadów. Dużo dzieci. Także zgwałcone kobiety, którym na koniec związane ręce, zamknięte je w domach. Podpalono.

Do namiotu lidera stu rodzin schodzą się ocalali z Tula Toli. Kobiety, mężczyźni. Każdy chce coś powiedzieć, wszyscy mówią w kółko to samo, kakofonia: żołnierze strzelali, za nimi buddyjscy chłopcy, wszędzie jazgot, nasi chcieli chować się w domach, domy płonęły, żywcem ludzi palili, padali na twarz, plecy, nożami obcinali głowy, strzelali do kobiet nad rzeką, ciała dzieci wrzucali do wody, wcześniej je zabili nożami, w tyłu rodzinach ani jeden człowiek nie przeżył, nie ma komu za nimi płakać, czasem jeden uciekł, sam został na świecie, i ja sama z córką, z dwójką wnu-

czą, nie mamy w rodzinie mężczyzny, trzy zgwałcone ocalały, nie, siedem zgwałconych, obcinali kobietom uszy, nosy, wyrwali kolczyki, spójrzcie na nią, straciła rozum, postrzelili ją w stopę, uciekała, dopadli i bili, myśleli, że na śmierć, wykopali podłużny dół, ciała rozrzucone wszędzie, moja bratowa, jej czterech synów, córka, dobrze, że brat tego nie dożył, kładli ciała w dole, przykrywali kocami, ona straciła rozum, już w tym grobie leżała, już poczuła benzynę, żołnierze odeszli, bo im się ciepło zrobiło, trupim smrodem nie chcieli oddychać, wypełzła z ognia jak jaszczurka, ale tego już nam nie opowie, teraz tylko z tamtymi potrafi rozmawiać, co zostali w grobie, wszyscy spaleni na węgiel, możecie pogadać z tymi zgwałconymi, chcecie?

Nie chcemy. Mielibyśmy je pytać? O co? Świadczenia zgwałconych zostawmy międzynarodowym trybunałom. Tylko gdzie one są? Miesiąc mija, a tych ludzi z Tula Toli nikt o nic nie pyta. Poza dziennikarzami. Na podstawie ich relacji zagłada wsi doczekała się profilu na Wikipedii już w pierwszej połowie września. Tam liczby są mniejsze: 500 zabitych, pięć kobiet zgwałconych. Z czasem liczby urosły. Nikt nie jest ich pewny. Nie mamy jak ich sprawdzić. Przez pierwsze tygodnie września spalone terytoria nie były dostępne dla międzynarodowych obserwatorów. Władze Mjanmy odmawiały im wjazdu. Teraz podobno pojedą. Zobaczymy, czego się tam dowiedzą. Na razie wiadomo na pewno, że wieś Tula Toli spłonęła – spaloną ziemię widać z satelity. Śledztwa w sprawie Tula Toli nie ma, ludobójstwem na Rohingya prokuratorzy jeszcze się nie zajmują. Świat ogłosił, że trwają czystki etniczne. Tyle. Nie ma trybunałów. Upał jest, który niczego nie suszy.

#inani

Natychmiast na plażę Inani! – taką wiadomość dostaliśmy przed chwilą od miejscowego dziennikarza. Ładną drogą pędzimy wzdłuż czarnego morza, jest późny wieczór, szosa mokra, bo lało całe popołudnie. Już nie na plażę mamy jechać, kolejna wiadomość w telefonie, ale do wsi obok. Też nazywa się Inani. Tam stoi betonowy budynek – schronienie dla mieszkańców bambusowo-bla-szanych gospodarstw na wypadek cyklonu.

Ciemno we wsi Inani. Przed cyclone center liche światło. Na co dzień to szkoła podstawowa. Sala lekcyjna na piętrze, na parterze zadaszona przestrzeń bez ścian. Dzieciom z daleka szkoła posłuży tej nocy.

Niosą je teraz z ciężarówki. Najpierw parę najmniejszych. Kładą na posadzce, pod słupem. Są jak dwa kamienie w kolorze plaży Inani, to znaczy w kolorze ziemi. Bliźnięta? Nawet pół roku sobie nie pożyły. Jedna bura szmata wystarczy, by je nakryć razem. Teraz kładą większe, obok, okrywają żółtą foliową peleryną. Schodzą się mieszkańcy wsi, patrzą. Z ciężarówki przynoszą kobietę. I znowu dziecko, znowu dziecko, znowu dziecko? Któreś płacze?

To Abdul Rahman, ma ze cztery lata. Jego mama – niewiele ponad 20. Tuli go. Nazywa się Nur Fatema i zdaje się Abdul nie jest jej jedynym dzieckiem, z którym uciekała przez morze. Stoi w drugiej, ciemnej części sali bez ścian, jakby nie chciała patrzeć tu, gdzie ustawiono prowizoryczne światło. Policjant każe jej podejść:

dziewięcioro dzieci, siedem kobiet. Policjant odkrywa je po kolei. Ktoś z ramion zabiera matce płaczącego syna, ale nigdzie z nim nie odchodzi. Dziecko patrzy, wszyscy patrzymy.

Twarz Nur Fatemy bez najmniejszego grymasu, porcelanowa jak te na posadzce. Po kolei wymienia imiona, nie ma siły wydobyc z siebie pełnego głosu, nie słyszymy wiele. Żadnego lamentu. Pewność: zna utopionych. Wszyscy, czy prawie wszyscy, uciekali z tej samej płonącej wsi, nieopodal miasta Rathetaung. Szli dwa tygodnie, wczoraj wsiedli na łódkę, zostali ostrzelani, odплыnęli daleko od brzegu, by płynąć bezpiecznie, płynęli prawie dobę, byli już blisko plaży, tutaj, kiedy zaczęło lać. Łódka się przewróciła, ludzie wpadli do wody. Nur Fatema rozpoznaje młodszego syna. Miał dziewięć miesięcy. Wszystko dzieje się w takiej ciszy, jakby się wcale nie działo.

Ale wschodzi słońce: dzieci i matki leżą na betonie, w szkole. Tłum wieśniaków patrzy zza niskiego muru. Jakiś mężczyzna pochyła się nad ciałami: stracił w morzu troje dzieci i żonę, sam na nieszczęście przeżył, teraz traci władzę w nogach. Podobno w łódce było aż 60 osób. Znalezione w końcu 23 ciała. Reszta? Zaginieni.

Tutejsze kobiety podnoszą zwłoki, zabierają je tam, gdzie nikt nie patrzy. Myją. Owijają w białe całuny. Kładą je na wózku przyczepionym do roweru, który na co dzień służy do transportu płonów. Wszyscy idą w kierunku meczetu, przez pola ryżowe, za meczet. Imam, nazywa się Mohammad Harum, odmawia Ja Sin: umarłym przywróć życie, a sprawy ich i uczynki będą zapisane w księdze prawdy.

Białe kokony w podłużnym zbiorowym grobie. Łopaty. Żadnych tabliczek, imion, nazwisk. I już po pogrzebie. Nur Fatemę, jej męża i ocalałego syna ktoś za chwilę podrzuci na brzydką drogę, do obozu Kutupalong. Tam nikt już się nimi interesował nie będzie. Tam każdy kogoś stracił: w wodzie, w ogniu. I ci, co przyszli wczoraj, i ci, co kilka lat temu.

#kutupalong

To obóz mieszany: stare traumy z nowymi, nowe namioty obok starych uchodźczych siedlisk. Niektóre są gliniane, w niektórych – beton na podłodze. Uliczki: krawiec, fryzjer, restauracja, porządne latryny, maszt telefonii komórkowej, nie ma prądu, chyba że z małego solaru, ale jest punkt, gdzie za drobną opłatą ładują komórki. Obóz stał się wsią. Zakonserwowana nędza.

W tych dniach tuż obok władze Bangladeszu wydzieliły 809 hektarów, na których powstaje wielki obóz. Największy uchodźczy obóz na świecie. Po angielsku: Kutupalong Extension Site.

Ma pomieścić wszystkich uchodźców Rohingya. Pierwsi już tam mieszkają. Wsparcia udziela Wysoki Komisarz Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców (UNHCR). Buduje z pomocą lokalnych organizacji nowe namioty: stuosobowe, żeby przed deszczem uchronić tych, co dopiero przybyli, i mniejsze – dla dwóch, trzech rodzin. Powstają studnie, latryny, centra leczenia biegunki (na razie 20 łóżek, zapowiadają 80), stacje przeciwdziałania odwodnieniu. Jest pomoc dla sierot, dla wdów, są szczepienia. Wszyscy się boją cholery. Przywieźli paleniska do gotowania, solary, maty do spania, brezent. Wszystkiego wciąż jest za mało. Wysoki Komisarz prosi świat o pieniądze. Za miesiąc, za dwa wszystko tu będzie wyglądało inaczej? Jak inaczej?

Ludzie wciąż idą. Rohingya – to się ciężko wymawia. Kutupalong, Inani, Tula Toli, Balu Khali, Teknaf – mamy te nazwy pamięć-

tać? Tak się chyba wydaje dziennikarzom, którzy tutaj pracują. Nie jest nas wielu. “Uciekali z ognia przez wodę, do ziemi” – tak relację z Inani puentuje światowa telewizja. Z nadzieją, że zrobi tym na świecie wrażenie? Jedna z ekip nie daje Nur Fatemie spokoju. Zanim zostanie zabrana do obozu, musi jeszcze powiedzieć kilka słów do świata. Po pogrzebie zabierają ją i resztę ocalałych znowu do szkoły. Tam, w sali lekcyjnej, każą im usiąść w ławkach, włączają kamerę. – Chwyciłam się łodzi jedną ręką – mówi Nur Fatema. – Drugą trzymałam syna i?

I dalej już wiecie.

„Stowarzyszenie Amnesty International Polska obchodzi w 2020 roku 30-lecie swojej działalności. W tym czasie wspólnie z Wami walczyliśmy o prawa człowieka biorąc udział w protestach, zbierając podpisy pod petycjami, cyklicznie organizując Maraton Pisania Listów. Mimo zmieniających się okoliczności zawsze motywowały nas nadzieja i wolność.

Z okazji tego jubileuszu realizujemy wyjątkowy projekt, który powstaje we współpracy z polskimi twórcami i twórczyniami literatury oraz agencją kreatywną 180heartbeats + JUNG v MATT. „Wierzymy w wolność” to zbiór opowiadań o prawach człowieka”.

Poznaj te historie na: amnesty.org.pl/wierzymy-w-wolnosc/

#30AmnestyPL

